

ALFONS DAUDET.

BANDYTA GUASTANA

1)

— Bodaj lichy porwało wszystkie nęcące prefektury krajowe! — zawołał pewnego razu baron Bourdet. — W tych t. zw. malowniczych okolicach nie wszystko tak gładko się wiedzie, jak gdzieindziej; zwłaszcza jeżeli się kto nie urodził tutaj — a po większej części tak jest — wtedy jako urzędnik ma do zwalczania nieprzerwany łańcuch utrapień i różnych tarapatów. Gdybym był pisarzem z powołania, mógłbym sam napisać gruby tom wyliczeniem wszystkich nieprzyjemności, jakich w przeciągu trzech lat mego pobytu w Korsyce, jako radca prefektury, doznałem.

Jedno atoli zdarzenie, które mnie tam spotkało, chciałbym opowiedzieć ku rozveseleniu czytelnika.

Było to krótko po objęciu mego stanowiska w Ajaccio. Pewnego pięknego poranku siedzę sobie w kawiarni, pozbierawszy wszystkie paryskie dzienniki, ciesząc się, że dowiem się czegoś z mych siron rodzinnych, gdy nagle wpada służący prefekta, oddaje mi bilet, na którym czytałem te słowa: „Przybądź pan spiesznie, potrzebuję koniecznie widzieć się z tobą. Mam bandytę Guastana”. Okrzyk radosny wydarł się z mych piersi, pobiegłem czempredzej do prefektury.

Dla zrozumienia mej radości dodać winienem, że podczas drugiego cesarstwa ujęcie korsykańskiego bandyty uważano za rzecz nadzwyczaj ważną. „Colomba”, opowiadanie Merime’a, obudziło w Tuilleryach zajęcie się na nowo stosunkami korsykańskimi. A jeżeli który z prefektów miał to szczęście, że ujął jednego z owych osławionych, a niekiedy sławnych opryszków, wtenczas z pewnością awansował na radcę pierwszej klasy, zwłaszcza, jeżeli w protokole powiedziano, że schwytanie bandyty połączone było z wielu trudnościami.

Nieszczęściem, bandytów było coraz mniej, wymierali oni potroszę. Korsyka była wówczas na drodze cywilizacji, a *vendetta*, czyli krwawa zemsta, ustąpiła zupełnie. Jeżeli niekiedy w odleglejszych obwodach, który z tubylców chwycił za sztylet lub broń palną, aby wykonać czyn zakazany, wtedy wynosił się do Sardynii, a tam doład nie można go było ścigać.

Prefekci nie cieszyli się z tego. Nie stało bandytów, nie było też radców pierwszej klasy. Polując ciągle na owe indywidua celem zrobienia kariery, mój prefekt miał rzeczywiście to szczęście, że schwycił jednego z nich. Tak myślałem wówczas. Guastana był to stary rabuś, który chcąc pomścić morderstwo, popełnione niegdyś na jego bracie, wymordował potroszę całe rodziny. Działo się to w latach 1840 i 1842. Odład ukrywał się w górach, pokazując się tylko tu i ówdzie, aby nową wyszukać ofiarę, a po spełnieniu niecnego czynu władze poszukiwały go z tem większą skwapliwością. Kiedy jednakże w żaden sposób nie można go było wytropić, z czasem poszła ta sprawa w zapomnienie. Pomimo to rabuś nie czuł się nigdy bezpiecznym, będąc zawsze nadzwyczaj ostrożnym. Kiedy po latach wielu rozpoczęto na nowo pogoni za nim, była ona zawsze bezskuteczna.

To też powstała pomiędzy nim a nami, t. j. władzą rządową, wojna wedle wszelkiej reguły. My mieliśmy wojsko, żandarmeryę i telegrafy. Guastana zaś miał po swej stronie pasterzy, węglarzy i całe położenie miejscowości Monte Rotonde, gdzie pomiędzy urwiska i skały chylały tylko ptaki i kozy mogły pójść za nim.

Wreszcie prefektura porzuciła myśl schwytania go kiedykolwiek. Aż tu nagle nadeszła wiadomość „mamy go”. Można sobie wyobrazić, jak miła to dla mnie było niespodzianka.

Zastąpiłem prefekta rozmawiającego żywo z małym jakimś człowieczkiem, którego rysów twarzy trudno było dojrzeć, tak gęstą i różczochraną była jego broda. Był to prototyp korsykańskiego chłopca. Na głowie miał czapkę wełnianą, a za pasem długie nożyce, których ci ludzie używają do rozdrabniania na dłoni świeżych wielkich ilości tytoniowych.

— To jest krewny Guastana — szepnął mi do ucha prefekt. — Mieszka on w małej wiosce Solenzara pod Porto Vecchio, a bandyta odwiedza go co niedzielę, by pograć z nim partię „Scopa”. Zdaje się, że ostatnią razą pokłócili się przy

grze; czuły krewny, aby się zemścić, robi mi tę dziwną propozycję, że odda w me ręce Guastana. Mówiąc między nami, zdaje mi się, że można mu zaufać. Atoli chociaż pragnę usilnie schwytania bandyty i to z jak największym rozgłosem, musimy jednakże bardzo być ostrożni, aby w razie nieudania się naszej wyprawy nie narazić się na śmieszność. Dlatego udałem się do ciebie panie baronie, prosząc cię o pomoc w sprawie. Niedawno pan tu mieszkasz, nikt cię nie zna; mógłbyś się przejechać i przekonać osobiście, czy tam naprawdę jest rzeczywiście Guastana, czy ten człowiek nie myli się sam, lub też nas nie zwodzi.

— Ależ ja nie znam waszego sławnego Guastana, nigdy go nie widziałem — odparłem.

Prefekt wyjął z pugłaresu fotografię dość zabrudzoną, mówiąc: „zabierz pan to z sobą, ten człowiek był tak nieroztropnym, że w roku zeszłym kazał się w Porto Vecchio fotografować”.

Podczas gdyśmy się wpatrywali w mądra, o ostrych rysach twarz bandyty, zbliżył się wieśniak, obserwując nas z boku. Udawał on, że nic go nie zajmuje, co się w koło niego dzieje, widziałem jednakże, iż z podejba rzucał na nas spojrzenie przeszywające jak ostrze sztyletu.

— Czy się nie lękacie — zapytałem go — aby obecność obcej osoby nie zwróciła uwagi waszego krewnego? Być może, w przyszłą niedzielę nie pokaże się u was wcale.

— O to nie mam obawy — odpowiedział wieśniak — jest on zanadto namiętnym graczem. Zresztą w Solenzara często bywają obcy przybysze, aby obejrzeć huty i lejarnie. Ja mu powiem, że pan przybył również do mnie, abym mu wskazał, gdzie najlepiej kwiczołówn ubić można. Mam do tego właśnie stosowną porę.

Umówiliśmy się tedy, że w najbliższą niedzielę wieczorem spotkamy się w Solenzara, poczem wieśniak się oddalił, nie zażenowany tem bynajmniej, że chciał spełnić czyn tak niecny, jakim jest zdrada przyjaciela. Zaledwie się oddalił, pan prefekt rozpoczął dawać instrukcje.

— Przedewszystkiem mój radco kochany — mówił on — nie wspominaj pan ani słowa o tem zgola nikomu! Rozumiesz pan, nikomu! Pełno tutaj wszędzie szpiegów, a bandyta z łatwością dowiedziałby się o naszych względem niego zamiarach. Zresztą nie chciałbym z nikim innym, prócz pana, dzielić sławy, jaka nas czeka po szczęśliwem dokonaniu wyprawy.

Zapewniłem prefekta o głębokiem milczeniu z mej strony, podziękowałem mu za zaufanie, jakie mi okazał i rozeszliśmy się, każdy spełniony najpiękniejszymi nadziejami, on widział się już w duchu radcą stanu, a ja szefem prefektury w jakiejś malowniczej okolicy na stałym ładzie.

W najbliższą niedzielę, jak najraniej, uzbrojony od stóp do głów w myśliwskie przybory, wsiadłem do powozu pocztowego, który wzdłuż całej wyspy pomiędzy Ajaccio i Bastiją kursuje.

Dla miłośników przyrody nie masz na całym świecie piękniejszej i bardziej urozmaiconej podróży, jak droga, którą przebywałem. Z boku widniały lasy oliwne, a to sprawiało wrażenie, jakbyśmy byli w środku Prowancji, dalej ciemne świerkowe lasy napępniały wonią powietrze. Z innej znów strony ukazywały się wierzchołki gór, pokryte śniegiem.

Przejeżdżaliśmy również obok pagórków obsadzonych od dołu do góry najpiękniejszymi plantacyami pomarańczowemi. Znajdujące się tu i ówdzie w pośród pagórków próżne miejsca dozwalały w dali dojrzeć wzrokiem modre fale morskie i płynące po nich okręta i łodzie rybackie.

W Bonifacio zatrzymaliśmy się, aby zjeść śniadanie, po którym wsiadłszy do powozu, czułem, że mi głowa troszeczkę ciężyla wskutek uraczenia się dość wytrawnem winem. W powozie zastałem towarzysza podróży, młodzieńca, krórego kilka razy spotykałem na obiadach u mego prefekta.

Był on pomocnikiem w urzędzie administracyjnym w Bastia.

Młodzieniec ten paryżanin jak i ja, był w rozmowie nadzwyczaj uprzejmy i miły, lecz umiał być również złośliwym i satyrycznym.

Wiadomą jest rzeczą, że pomiędzy władzami rządowemi a administracją miejską stosunki zwykle bywają naprężone, a na Korsyce działo się to wiele więcej, niż gdziekolwiek indziej.

Rząd miał swą siedzibę w Ajaccio, zarząd administracyjny zaś rezydował w Bastia, stąd

też pomiędzy temi dwoma miastami panowała pewna rywalizacja. Nie miało to jednakże dla dwóch Paryżan, spotykających się na wygnaniu, żadnego znaczenia! Co ich tam obchodzić mogły obce kłótnie. Nie mówili oni o kraju, w którym obecnie mieszkali, lecz o tym, który opuścili.

Krótko i węzłowo, urzędnik pomocniczy z Bastia i moja osobistość zostali wkrótce dobrymi przyjaciółmi. Wino rozwiązało mi język, wynurzyłem wszystko, co miałem na sercu. Po jeremiadach nad obecnem wygnaniem w Korsyce, dodałem, że mam nadzieję powrócenia wkrótce do ukochanej Francji, jeżeli tylko uda się wyprawa przeciw Guastanie, poczem opowiedziałem nowemu przyjacielowi pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy całą historję.

Kiedy mój przyjaciel wysiadł z powozu w Porto Vecchio, byliśmy z sobą per „ty”. O! jakże pięknym jest wiek młodzieńczy!

Mała wioska Solenzara, do której w kilka godzin później przybyłem, leży ponad małą zatoką, do której wpływa dość szeroka rzeka, w środku tej osady jest ogromna huta, czyli lejarnia kruszców, która tej miejscowości nadaje pewne znaczenie. W domach zbudowanych około huty mieszkają robotnicy, rybacy i urzędnicy celni. W niedzielę, gdy przybyłem, miejscowość zupełnie była opuszczona, tylko w hucie wrzało nieustające życie fabryczne.

Stałem w obszernym i pustym domu za jezdny. Wieczór się zbliżył, a Mateo, krewny Guastana, nie przybywał. Zjadłem kolację, sucha i przypalona pieczeń kozia nie bardzo mi smakowała, wypilem kilka kieliszków jeden po drugim cierpkiego krajowego wina. Robotnicy z fabryki, którzy tu wstąpili na wypoczynek, także już wyszli, gospodarz doprowadzał mnie do wściekłości swem ciekawem badaniem co do mej osoby i celu przybycia do wsi. Nareszcie zjawił się Mateo.

Kłaniając się, szepnął z cicha, że Guastana już jest w jego domu i jeżeli zechcę, mogę go zaraz zobaczyć. Wyszliśmy tedy. Noc była zupełnie ciemna, wicher gwałtowny powstał i rzucał nam okruszyny żelaza, żwir i piasek prosto w twarz, w usta, w oczy i nos. Blisko milę szliśmy drogą wysypaną żwirem i drobnymi koficzącymi kamyczkami; jak później dostrzegłem, było to koryto małej, w obecnej porze wyschłej rzeczki.

— Oto mój dom — odezwał się Mateo, wskazując na przedzierające się przez gałęzie drzew światelko, błyszczące jak gdyby mały świętojański robaczek.

W tej właśnie chwili wypadło tuż przed nim olbrzymie psisko, szczekając z wściekłości, jak gdyby chciało zatamować nam drogę i zmusić do odwrótu.

— Brucio, pójdz — wołał Mateo, a zwracając się do mnie, dodał — to pies Guastana; jest to zjadliwe, niebezpieczne zwierzę, w czujności nie ma równego sobie. Pójdz tu Brucio, chodź stare psisko! Czy ty myślisz, że to żandarmi?

Brucio uspokoił się temi słowy, a skacząc nam około nóg, poprzedzał nas do domu Mateo, do którego za nim weszliśmy.

Dom ten był raczej rodzajem kamiennej chaty, z ogromną w środku dachu dziurą, która na podwójny służyła cel, jako komin i okno zarazem. Dwa łóżka, podobne do tych, jakie na okręcie widzimy, zajmowały połowę izby.

Na stole, otoczonym prostymi stołkami, stała świeca w drewnianym lichtarzu, około której pełno much i komarów brzęczało, a osmaliwszy sobie skrzydła, padało ofiarą śmierci.

Przy stole siedział mężczyzna z twarzą ogoloną, o rysach ostrych i energicznych, wyglądał jak rybak włoski lub prowanccki. W rękę trzymał talie kart, a spoglądając na mnie, palił skwapliwie tytofi, iż otoczony był dymem, jak oblokami.

— Wuju Guastana — odezwał się Mateo przy wejściu — jest tu jeden pan z biura huty, chciałby jutro pójść ze mną na kwiczoły i zanocować tutaj, aby jak najraniej wyruszyć.

Jeżeli ktoś przez dziesięć lat z górą nieustannie jest ścigany i prześladowany, to w końcu niedowierzanie każdej nowej fizyognomii stanie się dlań drugą naturą. Bandyta zwrócił na mnie swe małe czarne oczy, jak gdyby chciał mi przeczytać z twarzy, co się dzieje w mej duszy. Zdaje się, że nic podejrzanego nie spostrzegł we mnie, gdyż skinął głową na znak powitania, a odwróciwszy się, nie troszczył się więcej o mnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).